

Gołębiowski, Stefan

Czarna i jasna, "Tygodnik Kulturalny"
XIII 42 (645), 19 X 1969 : [przedruk]

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 25, 49-60

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

wie się nie mieściło, żeby dobrodziejom swoim taką krzywdę wyrządził. Wszak wiedział, w którą stronę wiatr wieje i czym to grozi.

Byli i tacy, co posądzali podpalacza stodół, który niedawno z kryminału po odbyciu kary powrócił i miał ze Stachem porachunki, że świadczył przeciw niemu.

Ostatecznie skończyło się na Wiatrakowskim. Znalaziono bowiem na kartoflisku koński łeb ukryty w piasku. Od strony Bielickiego sterczał nie dopalony wiechetek. Wielu święcie temu wierzyło, ale szły także słuchy, że ktoś zrobił to dla głupiego żartu. Zawsze lepiej niechaj wierzący mają rację. Przez bojaźń.

Nadwiślaków srogi los doświadczył i zarazem pogodził. Za odškodowanie postanowili w swoich stronach wziąć młyn do spółki w dzierżawę. Widocznie doszli do przekonania, że zło tkwiło w nich, a nie w siłach nieczystych.

Nie ma różnicy. Od dawien dawna nieszczęście jest zawsze pod wierzchem, a po dobroć trzeba głębiej sięgać.

Kiedy już mieli ruszyć starym traktem, skąd przyszli, Maryś po raz ostatni pobiegła na cmentarz. Padła na kolana, objęła grób ramionami i palce wczepiła w świeżą murawę. Półprzytomną od mogiły ledwie siłą zdołano oderwać.

Furmanka już czekała. Kiedy ruszyła, psy z tyłu uwadzone biegly zgodnie z pyskami przy ziemi, jakby szcekać nie umiały.

Wiatr sunął piaszczystą drogą i ślad zdmuchiwał.

CZARNA I JASNA

„Tygodnik Kulturalny”, XIII 42 (645), 19 X 1969

1

Lubimy dobrze zjeść, jeszcze lepiej wypić, ale najlepiej kłać. Z potrzeby i bez potrzeby. Z przyzwyczajenia. Z wrodzonej chęci obrażania cudzych uczuć. Z arogancji i z przewrotnego ugrzecznienia. Niech cię choroba, tyle lat, skąd bogi niosą.

Pod tym względem byliśmy i jesteśmy najbardziej demokratyczni od skurwysynów do jaśnie pańskich stu diabłów. Jeszcze jeden tytuł do wątpliwej dumy narodowej.

Niestety, z braku odpowiedniego słownika, z bogactwa przekleństw i wymyślań korzystamy na oślep. Każdy, kogo na to stać, dysponuje większym lub mniejszym bukietem ordynarnych chwastów językowych.

Jakby to było przyzwoicie, gdyby zwyczajne nasze pokrzywy wyłazły spod płota, żeby zająć pozycje straży bezpieczeństwa. Nie tylko w odniesieniu do synalków, ale i do poszlakowych ojców.

Zwyczaj pomstowania tak się upowszechnił, że nawet ludzie najbardziej łagodni i dobrze wychowani nie mogą się obejść bez odpowiednich zwrotów zastępczych. Wyrywają jadowite żądło słowom na rzecz niewinnych: kurtka na wacie, skórka pomarańczowa. Słyszy się je najczęściej wśród grzecznych pociech i niewiast nabożnych, które nie muszą się z nich spowiadać. Dla czystego sumienia to niemała gwarancja.

Ostatnio, przynajmniej w moim odczuciu, w całej jaskrawości sakramenckiej pojawiła się postać nowa, już nie wyklęta, heretycka, ale błogosławiona z oznakami beatyfikacji. Santapolonia.

Mamy więc świętą orędowniczkę, pośredniczkę naszą. Jest nareszcie do kogo odmawiać nie kończące się litanie złorzeczeń mniej lub więcej wyszukanych. Dla świętego spokoju, żeby obsesjom w słowach ulżyć.

Nie do świętej, broń Boże, lecz do przekłętej sam się nieraz zwracałem, kiedy przy ułomnych warunkach fizycznych przyszło mi grać rolę diabła kulawego. Z irytacji to u mnie poszło, a nie z domu, w którym przekleństwa należały do rzadkości.

W ojca wyzewnictwie istniały dwa takie złowrogie spięcia słowne, które usłyszane w niezwykłych okolicznościach szczególnie utkwiły w mojej pamięci. Żywe i wierne jak w kliszy.

Pierwszy pojazd mechaniczny na drodze. Koń spłoszony rzuca się w bok. Skręt gwałtowny i już leżymy z furą siana w rowie. Grzebię się jeszcze przywalony, a ojciec po drugiej stronie wozu grzmi. A niech cię siarczysty! Nie wiadomo pod czyim adresem, ale z intonacją wymowną.

Widocznie to wypadkowe spotkanie konia z końmi mechanicznymi przypomniało ojcu inne w poprzek drogi na wyjezdnym, bo po niebieskim obstrzale odgrzmiało jeszcze drugie pomstowanie: Ty jasna cholero!

Tym razem nie ulegało wątpliwości, o którą Jasną chodziło.

Prawdziwy rodowód cholery wyprowadzam z rzeki. Z leniwego biegu i rozlewności obejmującej całą dolinę, która z różnymi zakolami tworzyła prawdopodobnie pierwotne, macierzyste koryto.

Płynęła przez tereny leśne, o których dotąd mówią nazwy okolicznych miejscowości. Takie, jak Zieluń, Zielona, Olszewo, Łazy, Dąbrowa, Dąbrówki, Obręb, Jaworowo w dziewięciu wsiach i tyle innych.

Lasy dzięki splawnej rzece wcześniej niż gdzie indziej wykarczowane toporem zaciętych Mazurów otworzyły przestrzeń dla nadrzecznych łągów. Rzeka wśród nich wiła się w skrętach wężowych połyskliwa.

Sławna z ryb i zwłaszcza z raków, które szlachciły stoły i menu warszawskich restauracji, przez swoje naturalne bogactwo dała podstawę do porzekadła: Zeby nie ryby i nie raki, to by pozdychały nieznaniaki.

Raki już dawno wyginęły, ale ryb było nadal zatrzęsienie. Z ich strony nie groziła żadna katastrofa. Nieznaniacy za to co pewien czas zdychali z innego dopustu. Rzeka nizinna ma to do siebie, że płynie bardziej leniwie i łatwo podlega zamuleniu. Lustro wody podnosi się nad poziom i występuje z oprawy. Namuły rzeczne sprzyjają roślinności wodnej. Sitowie, tataraki, trzciny panoszą się i tarasują odpływ. Wód nadmiar bez ujścia podmywa doliny warstwy łączne i dostawszy się za trawiastą skórę tworzy bagno.

Zakutana w zielony kozuch łąk choruje na wodną puchlinę. Oddycha oparami i często ginie zatopiona we mgle.

Właśnie z tych oparów w białej koszuli z wiankiem lili na czole wylaniała się jako zjawa dziewica moru. Najczęściej szła od łąk zamyslińskich przez Zębówki w stronę Zajasek. Nabłoc była jej królestwem nawiedzanym w latach szczególnie dokuczliwych.

Jeszcze jej powrotu nic nie zapowiadało, kiedy przyszła na świat inna. Jasna, zamiast czarnej.

Nieznań górujący nad łązną doliną zajmował miejsce centralne. Dwukrotnie zdobył prawa miejskie i dwukrotnie utracił je. Władze carskie po roku 1863 zdegradowały go do rangi osady, a więc miejscowości grawitującej między miastem i wsią.

O jego minionej tradycji świadczył pałac z pięknie rozplanowanym parkiem, rynek i w ogóle wygląd miasteczka. Zatrzymany w roz-

woju zachował jednak niektóre dawne instytucje użyteczności publicznej. Przede wszystkim sąd i szpital z jednym lekarzem i dwiema pielęgniarkami.

Właśnie pod drzwiami tego szpitala po nocy świętojańskiej znaleziono dziecko. W wiklinowej opalce wyłożonej sitowiem i tatarakiem z liliami wodnymi na kołderce żałośnie kwiliło niemowlę. Dziewczątko.

Starsza z pielęgniarek, anioł dobroci, wierna pamięci swego narzeczonego, który na Syberii przepadł bez wieści, pielęgnowała chorych z myślą o nieszczęśliwym. Pod sercem jednak zawsze żywiła żal, że nie ma dziecka. A tu jakby rzeka pod drzwi dla niej dziecko podrzuciła.

Sierotkę przygarnęła. Maleństwo wykapanie i nakarmione zasnęło z rączkami podniesionymi w górę. Jakby się poddało szczęściu zgotowanemu przez los.

Bogdzia, jako że ją Bóg dał, wychowywała się pomiędzy Poświętnem, gdzie jej obecna mama mieszkała, a szpitalem, gdzie jeszcze usilniej pracowała, żeby zapewnić sobie i dziecku znośną egzystencję.

Lata biegly i z Bodzi, bo ją tak dla uproszczenia i pieszczotliwie nazywano, wyrosła zgrabna i dosyć oryginalna w urodzie dziewczynka. Miała oczy prawie szafirowe i przy tym włosy jasne, jak len. Nikt jaśniejszymi w miasteczku nie mógł się poszczycić. Stąd pochodził własny epitet Jasna Bodzia. A chłopcy wołali po prostu Jasna. Nie gniewała się. Widocznie przydomek przyjęła za swoją własność.

Z usposobienia żywa, wesola, lubiła z dziewczynkami skakać, bawić się w klasy. Lub w chowanego. Zwłaszcza z chłopcami. Za to nieraz skarcona dostawała po łapkach. Czasem też brała w łapki, że jak ogień piekły, kiedy ruski akcent wcale jej nie wychodził.

Jak trzy oddziały skończyła i trochę podrosła, oddana do krawcowej nauczyła się szyć i z własnego upodobania haftować. W domu poza tym zapowiadała się na skrętną i zapobiegliwą gosposię.

Już śmiało mogła iść za mąż, lecz jeszcze zwlekała, jeszcze przebieiała. Chłopców kręciło się co niemiara. I może znalazłaby szczęście Jasna, gdyby nie czarna...

4

Pojawiła się na przełomie wieków XIX i XX. Nie wiadomo, czy w ten sposób dawny wiek zamykała, czy nowy pod przyszłe spustoszenie, gorsze od zarazy, otwierała.

Tego roku wiosna była rodzajna w deszcze. Ziemia nasiąkla i parująca, wilgocią sprzyjała rozwojowi zgubnych drobnoustrojów. Ukryte w bagnie jeszcze nie miały siły, żeby rozpocząć walkę o własną ujawnioną egzystencję.

Potem pogoda się wyklarowała i nastąpiła, jak zwykły mawiać ojciec, uroczysta. Nadeszły dni skwarne. Upały. Moczary zaczęły wysychać i z grzęzawisk zgnilizny jej trującym tchnieniem powołana wystąpiła cholera, jak dotąd ostatnia, najbardziej zapamiętała.

Zwiastował ją zupełny brak much i owocnego robactwa. Gałęzie łamały się od rumianych jabłek, nabrzmiałych gruszy, od śliwek fioletowych z liliowym opuszkami. Kusily z daleka, ale nikt ich nie zrywał, albowiem kryły w swojej urodzie zarazę. Leżały pod drzewami bezużyteczne. Nikt ich nie zbierał i nikt ich nie kradł.

Pierwsze wypadki zachorowań zgoła większych strat za sobą nie pociągnęły. Wzbudziły jednak nieopisaną panikę. Osłabiły w ludziach odporność i przygotowały grunt pod przyszłe spustoszenie.

Ludzie przede wszystkim rzucili się do kościoła i w żarliwej modlitwie błagali Boga o odwrócenie klęski. Suplikacje się nie kończyły. Mimo to modlitwy nic nie pomogły i jeszcze sytuację pogorszyły. Masowe stykanie się sprzyjało infekcji. Śmierć zaczęła zbierać coraz większe żniwo. W ludziach wiara osłabła. Nie było zmiłowania boskiego.

Wymioty, biegunka, kurcze żołądka doprowadzały ciało do takiego wyczerpania, że człowiek ginął jak mucha. Wystarczył jeden dzień, najwyżej dwa, trzy, a już chory tracił puls i oddech. Bładł, żółkł jak pergamin bez połysku. W zapadłych oczach ledwie pstrzyły się mdle źrenice.

Choroba szerzyła spustoszenie. Wysiłki lekarza i felczera szły na marne. Środki zwalczania, prymitywne i niewspółmierne do potrzeb, pomagały tyle, co umarłemu kadzidło. Jedynie karbol i wapno okazywały się, jako dezynfekcyjne, najbardziej skutecznymi.

Nieznaj zmieniał się do niepoznania. Żydzi porzucili swoje sklepy i z resztkami dobytku przenieśli się do olszowego zagajnika. Tam prowadzili żywot cygański, koczowniczy. Ścigani zarazą umknęli potem za Białogórę. Wśród jałowców rozbili namioty i żyli jak na pustyni.

Ruch obumarł. Sklepy i jatki stały z żelaznymi sztangami, zamknięte na siedem spustów. Stragany bez pieczywa świeciły pustkami. Martwota ziała z ulic.

Szewcy, tak popularni w miasteczku, przestali kuć młotkami, bo na tamten świat dobrych butów nie trzeba. Wystarczą szyte trupięgi. Kuźnie przestały dzwonić kowadłami. Od świtu do nocy jedynie do uszu ludzkich dochodził jęk piły, szloch hebla i zgrzyt zbijanych desek, bez żadnej parady, ledwie bejcowanych.

Zresztą na trumnę mogli liczyć jedynie ludzie zamożniejsi. Już samo jej zdobycie wymagało nie lada pośpiechu. Pozbyć się umarłego jak najprędzej, bez pustej nocy, bez żadnej parady, tyle w największym poświęceniu mógł swoim najbliższym ofiarować żalobnik niepewny, czy go jutro coś podobnego nie spotka.

Po domach krążyli grabarze i osękami wyciągali ciała ludzi najbiedniejszych. Wlekli je ku gnojnym deskom wozu zaprzęzonego w chabetę, jakby uciekła od raka.

Co dzień ją słyhać było, jak podkowami dzwoniła po bruku. Aż dziw brał, skąd taka mizéria tyle siły z siebie wydobyła. Całą cholereę z miasteczka wywiozła i w dowód wdzięczności czyściciel ją wykończył. Za zwierzęcą ostatnią posługę taka ją spotkała ludzka zapłata.

Zanim jednak do tego doszło, jeszcze rozegrała się makabryczna akcja z Jasną, z późniejszym przydomkiem Cholera.

5

Jak tylko gruchnęła wieść o cholercie, Bodzia drapaką przepędziła kawalerów, wyrzekła się koleżanek i sama w izbie, jak mówią w tej okolicy, zaketowała się.

Dzięki zabięgliwej matce miała pod dostatkiem słoniny, sadła, kartofli i kaszy jaglanej, wówczas w tych stronach bardzo popularnej. Drewek na zapas naściagała do piwnicy i tak, jak mogła, sobie radziła.

Matka nie opuszczała szpitala i córki nie odwiedzała, żeby zarazy ze sobą nie przywlec. Stykała się z chorymi na co dzień. W doczesnej egzystencji niezbędna. Z tyłu zapowietrzonymi obcowała wciąż ofiar-na i nie tyle dla siebie, ile dla innych żyć powinna. Miała tę wiarę i tą wiarą niezachwianą żyła.

Co innego córka. Z własnej woli zamknęła się w chacie. Skazała na zapomnienie. Może biedulę przeoczy i nie zapuka. Czasami zjawiała się w oknie i zaraz znikała. Rada, że wszystko w porządku.

Wypadki jednak potoczyły się w innym kierunku! Kto stykał się z cholereą lub wierną relację przekazywał, zawsze dochodził do wnio-

sku, że trudno liczyć na reguły ocalenia. Raczej decyduje przypadek. Toteż egzystencjalizm nigdzie nie ma większego pola do ukazania prawdziwości swoich wywodów, jak w odniesieniu do cholery czy dżumy.

Nieświadoma tego siedziała Bodzia przy stoliku i ku pokrzepieniu serca czytała „Potop”, już nie wiadomo po raz który. Zaraza szwedzka przeszła też przez Nieznań. Miasto ograbione spłonęło. Potem sto lat wegetowało jako wieś.

Kościół za oknem. Jakże nad nim góruje klasztor Jasnogórski. Oblężenie. Wysadzona kolubryna. Kmicic podniesiony w górę zawisł w powietrzu. Kuklinowski przypala mu bok. I nagle pukanie od okna. Zły znak. Matka umarła. Pogrzeb w drodze. Nawet twarzy nie dostrzegła, jeno rękę i pięć chudych długich palców. Jak sztylety, żeby ją dobić. Przez głowę przelatują myśli-błyskawice. Zjawa. Widmo. Złośliwy żart. Żeby z kryjówki wypłoszyć. Wreszcie determinacja. Nie ma co, trzeba wyjść na wyzwanie losu. Z nakazu woli i serca.

Z chustką na głowie i z chusteczką przy ustach biegnie do Kościelnej, a tu już słyhać jęk dzwonu. Od Warszawskiej turkoczą koła, klaszczą kopyta. Na wozie ńędzna trumna. Po prostu pudło. Woźnica podnosi biczysko bez bata i niewidzialnym rzemieniem zatacza półkole od niej do trumny. To twoja matka. Słyszy i czuje. Twarz lży batem smagnęły.

Przed zamkniętym kościołem wóz przystanął. Nikt nie wyszedł. Czyżby proboszcz umarł? wyjechał? Nie było na co czekać. Jeden, drugi zakręt i oto cmentarz. Grabarz już czeka. Zamiast wodą święconą trumnę skropiono wapnem. Na sznurach płynęła do dołu.

Zanim ziemia glucho zahuczala w deskach, córka oderwała chusteczkę od ust i ręką sięgnęła ku ziemi. Ujęła garstkę piasku i w pochyleniu rzuciła na wieko. Wówczas z dołu uderzył fetor, co wyszedł z niesklejonych desek. W nozdrzach zaświdrowało i poczuła mdły smak w ustach. Trucizny ciąg trupi. Wybuchnęła szlochem.

A więc ta, którą tak kochała, chce ją z sobą zabrać? To chyba nie matka.

6

W popłochu wróciła do domu. Nawarzyła ziółek z piołunem. Gorycz w ustach przyniosła pewną ulgę. Padła w ubraniu na łóżko i z wyczerpania zasnęła.

Już dzień był na dobre, kiedy obudziła się z zawrotem głowy. Do ust powrócił mdły smak i zaczęły się nudności. Nawet nie zdążyła

dobiec do wiadra, kiedy zaczęła wymiotować. W oczach się rozwidniło i doznała pewnej ulgi. Nie na długo.

Nudności nie tylko powróciły, ale jeszcze do nich dołączyła się biegunka. Wśród nieustannej bieganiny za potrzebą i bez potrzeby już całkiem osłabiona dowlokła się do południa. Po południu chwyciły ją kurcze. Głosem chrypliwym błagała o łyk wody gotowanej. Traciła przytomność i do zmysłów wracała. Skręcona w kłębek o zmierzchu jak przez sen usłyszała kołatanie do drzwi.

Sen ujął ją twardy. Na szczęście nie był to sen nieprzespany. Raczej pokrzepiający. Tym razem oprzytomniała na dobre. Co to? Nic jak oko wykol. Kto jej ręce na krzyż złożył? Jakże potwornie duszno i ciasno. Maca dłońmi. Deski. Jedna, druga, trzecia, czwarta. Na piątą leży.

Włosy dęba stają z przerażenia, zęby dzwonią. Czyżby przywalała na ziemię jak matka? Musi spróbować. Szuka sposobu. Przewraca się na bok, a potem twarzą do spodu trumny. Podkurczyła kolana do siebie i usiłowała wieko podnieść. Słabo przybite wyskoczyło z capów i z hukiem spadło na podłogę. Podniosła się z kłęczek i wyczerpana siadła na sąsiedniej trumnie.

W zamkniętej niszy nie ma okna. Tylko przez szparę drzwi wdziera się półmrok brzasku. Pod ścianą trzecia trumna, a dalej pogrzebowe latarnie i czarny krzyż. W kącie stare pordezewiałe wieńce.

Z zaciskaniem w dołku dźwignęła się i dotarła do drzwi. Na szczęście nieszczelne dały się łatwo z zatyczki otworzyć. Skobel odskoczył. Odetchnęła powietrzem kościoła.

Wzdłuż ściany, a potem od ławki do ławki dowlokła się do sznura sygnaturki. Przepasala siebie liną i zaczęła w górę i na dół tańczyć. Serce sygnaturki odezwało się i w ten sposób oznajmiło powrót Bogdzy z tamtego świata.

Ile potem strachu użył dziad kościelny i jak niewyraźną minę miał organista, to sprawa wielce drażliwa! Należą do ludzi, którzy załatwiają sprawy ze zmarłymi, a tu taka cholerna historia.

Ludzie, których dotąd nie było widać, mimo chorobliwego strachu powylazili ze swoich ukrytych nor jak szczury. Kościół napelnił się gwarem i rozgardiaszem. Ci, którzy wiarę stracili, nabrali ducha.

Chłopcy wzięli dziewczynę na ręce i tak, zamiatając kościół swoimi długimi jasnymi włosami, wróciła do siebie.

Wróciła też nadzieja, bo już cholera musiała odejść stąd przezwy-
ciężona. Jasna jednak ocalała.

7

Jeden miesiąc zabrał ludzi więcej niż całe lata. Tylu odeszło na
cmentarz, a jednak poza fachowcami i majstrami, większy uszczerbek
w ludziach nie dał się we znaki. Nawet tu i tam półgębkiem mówiono:
zrobiło się lepiej, bo luźniej. Sprawy spadkowe ruszyły z miejsca
i konkurencja wśród szewców zmaląła.

Zwłaszcza młodzi nabrali ochoty do miłości i do żeniaczki. Wypa-
dało niedobór demograficzny uzupełnić. Toteż nie pamiętano tylu ślu-
bów i wesel, jak w tym pierwszym pocholerycznym karnawale.

Wśród dziewcząt zwłaszcza Bodzia, choć sierota, miała wielkie po-
wodzenie. Ciężkimi przeżyciami doświadczona, jakby odżyła i całym
blaskiem zajaśniała. Przy tym jako wiano wносиła dziedziczny domek.

Wpadł dziewczynie w oko Antoś kowal. Nazywali go smoluchem,
ale z oczu dobrze mu patrzyło. Chłopak palił się do roboty i chciał się
usamodzielić. Otworzyć własną kuźnię.

Pobrali się, lecz szczęście nie trwało długo. Jeszcze w miodowym
miesiącu jakiś narowisty koń podczas kucia przez chłopca niedojdę
źle trzymany, tak Antka trzepnął w głowę, że ją całkiem rozkwasił.
W wielkich mękach konał.

Przez rok chodziła jak nieswoja. Kiedy kto do niej mówił, uśmie-
chała się, ale widać było, że nie wie, co się do niej mówi. Do pracy
zarobkowej nie była zdolna. Żyła z tego, co Antoś zostawił na kuźnię.

Najlepiej czuła się w polu, skąd pod wieczór nieraz wracała z narę-
czem kwiatów polnych. W tych przechadzkach po miedzach trafiła na
Jaśka o kruczych włosach. Pełnego fantazji amanta co się zowie i do-
brego towarzysza do kielicha.

Przyczepił się do dziewczyny i różnymi sposobami ją manił. Mo-
lestował i groził, że jak za niego nie wyjdzie, to się na zabój rozpije.
A z nią do kielicha bez jej zgody nie zajrzy.

Bogdziuła, tak ją nazywał, więcej z dobroci serca, niż z miłości,
wyraziła zgodę i wzięli ze sobą cichy ślub. Na wiatraku, gdzie praco-
wał, był sezon martwy i mogli się nakochać, ile dusza zapragnie.

Kompanom trunkowym to się nie widziało. Ukartowali znowę.
Jeden z nich ściągnął Jaśka, nie bez oporu, do karczmy, gdzie miał się
z nim podzielić nowiną, jakiej świat nie słyszał.

Golnęli jedną, drugą kwaterkę i kiedy mieli już dobrze w czubie, nareszcie dowiedział się, o co rzecz idzie.

— Wiesz, Jasiu, ta twoja Bogdula to siuber. Podrzuciła ją pod drzwi jakaś łachudra. Też wybrałeś sobie babę. Chce kompanię rozbić, Jasna Cholera. Zobaczysz, że tak skończysz jak Antoś albo jeszcze gorzej.

Jasiu, jak gromem rażony, w pierwszej chwili oniemiał, a potem rzucił się na Walka. Lunął w pustą pałę pustą butelką. Szkło się rozprysło. Ze łbem pokrwawionym wyglądał potwornie. Nie wiadomo, skąd nóż przyskoczył. Z przechlastaną grdyką Jasiu runął na podłogę. Wśród charczenia skonał. Walek tego nie chciał i nie przewidział, ale gorzałka swoje zrobiła.

Po raz pierwszy nazwano ją Jasną Cholerą. Nie mogła darować tej karczmy. Wszakże przyrzekł na wszystkie świętości. Lecz w głębi serca stała po jego stronie. Przecież bronił jej dobrego imienia.

Zamknęła się w swoim domku i haftowała na zamówienie. A w chwilach wolnych czytała książki. Najbardziej lubiła smutne. Na zabawach nikt jej nie widział. Przestała tańczyć. Nie chodziła na spacer w pole. Z powodu Jaska. Uciezki szukała raczej w lesie, skąd przynosiła jagody, grzyby, jeżyny, zioła.

Minęło może trzy, może cztery lata i właśnie była w pełni kobiecej urody, kiedy nawinął się Władysław. Swego czasu kochał się w Bodzi, ale syn zamożnego gospodarza był powyżej jej aspiracji. Na złość ożenił się z inną i ta po nieudanym porodzie trawiona gorączką umarła.

Związały ich groby i cmentarz, gdzie się spotykali. Związała ich samotność i wspólna niedola. Mało z sobą rozmawiali, a więcej milczeli. Błagał ją oczyma. Umykała. Chciał zatrzymać w drodze. Nie potrafił. Dopiero, kiedy wspomniał o drugim dole, zrozumiała, do czego zmierza. Tłumaczyła, jak tylko mogła, że nie może. Ludzie będą mówić, że przeze mnie. Miej litość nade mną.

— Przecież do ich śmierci ręki nie dołożyłaś. Domek nieszczęścia porzuć. Lokatora wprowadź. Pójdź do mojej chaty!

— Wiesz dobrze, że nie znam się na gospodarstwie.

— Do grubszej roboty przyjmę służącą, tylko bądź moją.

Rodzicom taka synowa nie odpowiadała, jednak dla świętego spokoju zgodzili się, bo syna bardzo kochali. Sami zostali na jednej połowie gospodarstwa, a synowi oddali drugą. Więc już nic nie stało na przeszkodzie. Bodzia nie miała siły dalej się bronić.

Wesele wypadło w maju, tuż po Zielonych Świątkach. Bez rozgłosu. Nie było czemu się cieszyć. Wdowiec z wdową po dwóch mężach. Też się dopasowali. Nie warto sobie głowy zawracać. A tu czas gorący i roboty pełne ręce. Jak to w gospodarstwie.

Dni należały do pracy w polu, w obejściu i w ogrodzie. Jedyne noce najkrótsze w roku mieli do kochania bez pamięci.

Potem zapachniały sianokosy. Pogoda niepewna. Dobra i jedna fura. A pomocy jeszcze nie ma. Bogdzia sama się zgłosiła. Chwycił ją w pól i w powietrzu zakołował. Jak wicher pognali na Zajaski. W stronę łąki. Naprzeciw chmurom.

Siedzi na furze i siano odbiera. A tu już wali burza i błyska się. Fury układać nie umiała. Tym bardziej w strachu. Władys nagli. Oluje co siły. Ledwie ją widać w sianie. Drag łańcuchem spięli i jazda do domu.

Już mieli łąki za sobą i płytki rów do prostej drogi przed sobą, kiedy trzasło za nimi. Krzyknęła w niebogłosy. Przerażony obejrzał się. Konie tymczasem rzuciły się w bok. Jedno koło wpadło do rowu. Fura przechyliła się. Siano z przodka zjechało i Władys spadł. Nadział się na widły. Wśród błyskawic, piorunów i straszliwej ulewy w ramionach zalewającej się łzami jedynej, umiłowanej wił się w męczarniach.

O rozpacz! Nic więcej, tylko uśmiech życia i cmentarz. Chciała się wieszać. Zapaskę odcięli. Chciała się topić, gdzie dwa dna. Odratowali.

Wypląnęła na wierzch. Czarownica. Włosami chłopów mani. Jasną Cholera.

8

Posłuchała. Wzięła się do szycia. Jako domowa krawczka obszywała rodziny. Niedługo. Przyszedł dyfteryt i zaczął dusić dzieci. Podobno zaraza najpierw przyszła do tych, u których szyla.

Przestała szyć po domach. Wróciła do własnego. Kupiła maszynę i robotę przyjmowała na zamówienie. Uszyła piękną białą suknię dla panny młodej. Wesele nie doszło do skutku. Syn obstałową suknię dla swojej, starej matki. Umarła.

Dziwna rzecz. O innych strojach uszytych nic się nie mówiło. Liczyły się tylko z agencji cholerycznej. Urabiały panującą opinię.

Pracy miała coraz mniej. Szukała innej. Złe ludzkie oczy odwracały się jak od zapowietrzonej. Złe ludzkie języki obmawiały i odmawiały. Jeden tylko nauczyciel okazał serce. Przyjął ją za niewielkim wynagrodzeniem jako sprzątaczkę do szkoły.

Nie mogła. Nie chciała szerzyć zgorzenia. Kiedy szła przez ulicę, dzieci wołały za nią Jasna Cholera. A przecież to jest wołające o pomstę do nieba przekleństwo.

Nie było innego wyjścia. Sprzedała swój domek ze wszystkimi ruchomościami prawie za bezcen. Tylko z jedną walizką ruszyła w świat.

Wkrótce potem przysłała pierwsza światowa wojna, a po niej dwadzieścia pięć lat bez wieści i druga światowa. Gorsza od cholery.

O Santapolonia!

WILCZE DOŁY

„Tygodnik Kulturalny”, XV 15 (722)

1

Ze wszystkich dni stworzenia najwięcej wątpliwości budził dzień trzeci. Musiał to być dzień niezbyt dobrze przemyślany i w decyzjach chwiejny. Najlepiej to widać na miejscu ziemi mego urodzenia. Po prawicy same piaski, jak na pustyni, bez wody, a po lewicy rzeka wolno płynąca, jak Styks zarosła, w oparach moczarów i bagien, padół doliny, gdzie woda nie została we właściwy sposób oddzielona od ziemi.

Na piaskach górował nasz wiatrak, pierwszy żywiciel domu i rodziny. Wiatrak od wiatru, wbrew ojcu, który utrzymywał, że powinno być wiatrzak, bo nie wiatr był u jego narodzin, lecz wiatrz. Od niego zaczęło się moje życie i nic dziwnego, że był on olbrzymem opiekuńczym mojego dzieciństwa. Bez względu na to, że ostatecznie zwyciężył wiatr, który się we mnie jeszcze do dziś szamoce.

Tak było po prawicy, od strony ojca, a po lewicy było zgoła inaczej od strony matki. Urodziła się nad wielką wodą i wodzie wierzyła nade wszystko. Ziemia a nawet dom z jego niskimi progami w jej apodyktycznym przekonaniu nie mogły się mierzyć z wysokim progiem rzeki i młynem mojego dziadka.

Ojciec wiatraczny z matką młyńską zawarli związek małżeński i zrozumiała rzecz, że wiatrak, wbrew staraniom ojca, musiał w końcu pójść na zaprzędanie. Przez miłość do żony wpływowej i koło młyńskie bardziej obrotne od skrzydeł wiatracznych.